

Bolesław Jabłoński

część I z V

Sygnatura notacji: **N0048**

Data urodzenia: **14.07.1937 r.**

Data nagrania: **24.01.2022 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Otrębusy, Polska**

Prowadzący/y rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 65 min, część II: 57 min, część III: 52 min,**

Format nagrania: **video** **część VI: 48 min, część V: 86 min**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Bolesław Andrzej Jabłoński: Nazywam się Bolesław Andrzej Jabłoński. Urodziłem się w Poznaniu, można powiedzieć, przez przypadek, bo rodzina mego taty od głębokiego średniowiecza była związana z ziemią łomżyńską, ale tam rodzice przed wojną dostali pracę u profesora Kaczmarka w archiwum wojskowym i pracowali nad Powstaniem Wielkopolskim. W związku z tym, że tam była bardzo silna penetracja piątej kolumny niemieckiej, to już w końcu lipca rodziców zmobilizowali i ja z nianią miałem pojechać do dziadków właśnie na wschód Polski, gdzie miało być bezpiecznie. Ponieważ rodzice przechodzili straszliwe rzeczy w czasie rewolucji na Ukrainie, moja mama aż pod Rostowem, bo jej tato najpierw miał osiem lat „rekołeksji syberyjskiej”, potem dostał 12, i przy pierwszym zeszaniu babcia mogła pojechać z dziadkiem razem pod Irkuck, a w drugim jakiś urzędnik carski sobie wykombinował, że rodzina może najdalej na linię Donu pojechać. Licho wie, dlaczego linię Donu, ale tak było. I babcia była na [niezrozumiałe] w Rostowie. I znając okropności takich wypadków mama mi na kamizelce napisała: „Bolesław Andrzej”, żeby widzieli, że dzieciak jest chrzczony i adres poznański, a na plecach były dwa adresy dziadków, jednych i drugich. I jak to się stało, że ja się z nianią znalazłem w Brześciu, Bóg raczy wiedzieć. W każdym bądź razie mam jeszcze na pamiątkę w książeczce PKO stempel z 9 października 1939 roku, Narodowy Bank Polski, Brześć. Niania wyjęła jakąś tam minimalną sumę pieniędzy i proszę zauważyć, że to było już po defiladzie jednych przyjaciół i drugich, która była w końcu września. I ja dzięki tej kamizelce żyję. Dlaczego? Znalazłem się, jak potem ten kolejarz, który mnie wyjął z transportu, który młotkiem walił w koła, że zobaczył dzieciaka, który się dopycha do wyjścia takiego bydlęcego wagonu, żeby się wysuszać, że to był transport dla dzieci porzuconych i sierot do Kazachstanu. Podobno było kilkanaście wagonów aż. I wyjął mnie stamtąd. Dał do dziadków tutaj w łomżyńskim, ale tam dziadkowie już mieszkali w oficynie i też mieli ogromne szczęście, bo enkawudzista, który zajął ich pomieszczenie, był synem car-

skiego dragona, który tam był, latem przyjeżdżał na poligon i od dziadków kupowali konie. Dlatego tak łaskawie się z dziadkami jakoś obszedł. Niemniej jednak kolejarz mnie przeprowadził na stronę niemiecką, aż do Małkini. Małkinia była po stronie niemieckiej, ale była umowa między jednymi i drugimi przyjaciółmi, że transporty na wschód mają odchodzić ze strony niemieckiej, że tam jest stacja kolejowa duża. I przeprowadził mnie, mówiąc, że dzieciak się zawieruszył, a tu jest jego rodzina. I dzięki Bogu znalazłem się u drugich dziadków tutaj pod Tłuszczem w Warszawie. To był 1939 rok? To był jeszcze 1939 rok. Ja wróćę jeszcze właśnie do tego momentu transportu, jak będę mówił o organizacji młodzieżowej, bo to było dla mnie bardzo ważne. Mianowicie byłem tam u dziadków w Tłuszczu i słuchajcie, jaki byłem dumny. Do dziadka mówiłem „tato”, do babci - „mamo”. Dziadek, który strasznie zaciągał, dlatego, że był tyle lat w „mateczce Rosji” i nawet pamiętam, że jak pisał jakiś list, to mu się czasami „C” z „S” myliło i mówił: „Psa krew”, a nie wolno było mówić przy dziadku „Cholera”, bo „cholera” znaczy się Iwanowna. Tylko po polsku mówi się „psia krew”. „Psia krew, jeszcze jedna sierotka w naszej rodzinie od Moskali”, bo też w domu byli Moskale, nie Rosjanie. Pierwsza uciekła gdzieś spod Równego moja mama. Na tej zasadzie, że dobrze знаła mentalność rosyjską, miała na sobie w miarę elegancki płaszcz i z taką politruczką się zamieniła. „Daj ty mnie tę swoją starą kufajkę, bo mnie w zimie będzie zimno, a ty płaszcz jak będziesz miała, to zawsze sprzedasz, zarobisz”. I potem, jak wychodziła, to tych różnych strażników po kolei mijala i mówiła, że tam jakiś ma być jubel wśród naczelnictwa i zbierała pieniądze na wódkę. Więc chłopcy oczywiście dali pieniądze i dzięki temu matka moja miała na bilet i przez Kowel, Białystok trafiła do Tłuszcza. I ja już byłem gościem, bo już miałem dwie mamusie. Na początku grudnia wrócił tato i to jest właśnie ciekawa rzecz. Tato był koło Równego, w majątku hrabiego Badeniego, przy czym uratował się dzięki temu, że dwa razy smarował tak, wytarł sobie o spodnie łapy, że jego kolega pułkownik miał brodę i to był dziadek z jakiejś wsi a ojciec miał być nauczycielem w tej wsi. I tak jakoś przeszli przez pierwszą selekcję. Kiedy jedna ekipa nie wróciła, a wyszła z łopatami, to jest też ciekawa rzecz, przyszedł jakiś Ukrainiec i ad personam do mego taty, że: „NKWD was rozwała, uciekajcie”. Tata mu z kolei po ukraińsku, bo tam się wychowywał, powiedział, że: „Obawiam się, bo wasi nas rżną”, a on na to, że: „Myśmy za późno się zorientowali po której stronie powinniśmy być”. I jak tata wyszedł z grupą z łopatami, mieli takie sztychówki, to w pewnym momencie dał przez łeb żołnierzowi i zwiął. Doleciał do jakiegoś chutoru, akurat wychodził dziadek. To był koniec listopada, więc ogromne kałuże, i powiedział mu, że NKWD go goni, „Możesz mnie przechować albo wydać”. Już nie miał tata szans. I ten dziadek kazał wylać naftę swoim synom na kałużę, żeby psy nie podjęły tropu. Schowali ojca w piecu chlebowym. Tata sobie rozciął głowę i do końca życia miał sadzę koło skroni. I potem za pas oficerski i buty, zamienił ubranie, od chutoru do chutoru tatę tam przekazali, i też przez Białystok wrócił pod Tłuszcz. Oboje rodzice się szybko... A, jeszcze wróćę, że ja miałem już wtedy dwóch tatusiów, nie tylko dwie mamusie. I ponieważ taki dalszy sąsiad dziadków był komunistą i wiedział, że rodzice pracowali w archiwum wojskowym, a obowiązywał ukaz niemiecki, że wszyscy wojskowi muszą zgłosić się do oflagu bądź stalagu, jeśli byli zawodowymi. Jeżeli nie dostali się tam w czasie działań wojennych. I był donos. Ponieważ rodzice już nawiązali kontakt konspiracyjny w Warszawie, w związku z tym przyszła informacja: „Wieście”. Godzinę po opuszczeniu domu dziadków, gestapo dom otoczyło, a myśmy byli w Warszawie i w ramach przyszłych działań konspiracyjnych przenieśli nas... to było bardzo właśnie wygodne, do babci brata, przy ujściu rzeki Szreniawy. To jest sam południowy cypel kieleckiego. Wieś zabita tak dechami, że do kolejki wąskotorowej było 30 kilometrów. To było o tyle dla taty dobre, że ciocia mieszkała w Zakopanem, a ponieważ tato był jednym z tych, którzy organizowali łuk karpacki, więc miał znacznie bliżej. Mama natomiast zajmowała się i nasłuchami, i jednocześnie była radiotelegrafistką, kurierką i krążyła między Krakowem, Kielcami, Warszawą. Rodzice tam się

spotykali raz na miesiąc, wtedy, jak były jarmarki, bo to było miasteczko królewskie o nazwie Koszyce. Miało targi, były co tydzień. Jarmarki raz w miesiącu. I wtedy był tłok, wielu ludzi z daleka przyjeżdżało. I można było jakoś tam się przemielić. I powiem szczerze, że lata dziecinne, pomimo to, że rodziców prawie nie miałem, to były dla mnie przyjemne. Przynajmniej mam wspomnienia przyjemne. Babci brat sobie wykombinował, że na pociechę rodziny mam być szwoleżerem. Nie wiadomo dlaczego nie ułanem, a szwoleżerem. No i dobrze. Ale miałem obowiązek gania, chociaż ganiałem z psami albo na kucyku, że jeżeli zobaczę kogoś nieznanego, mam momentalnie zawiadomić dom. Wiedziałem, że jest taki pan Trawiński, który jest swoim, to był nauczyciel, i meldować o tym. Niemcy przebie-rali dziadów i też żeby zobaczyć, co się dzieje. I w zasadzie te lata ustawiły moją świadomość historyczną na całe życie. Dlatego, że uczyłem się czytać z tak zwanych wypisów przedwojennych, a to były bardzo patriotyczne czy-tanki. Jednocześnie wspaniałe wiersze, do których był potem podkład muzyczny. Do tej pory pamiętam, że Kiliński był szewcem. Podburzył on Warszawę, wyprawił moskalom weselisko krwawe, 1931 roku, że na mogile śpiewa jakiś ptaszyn: „Pole nie było, Polsko, szczęścia tobie. Twoje matki płaczą, dzieci twoje w grobie...” i tak dalej, i tak dalej. Jak mama wracała, dla odprężenia siadała przy fortepianie i egzaminowała mnie, czy znam słowa i razem myśmy śpiewali. I dwie takie przyjemne rzeczy z tych lat dziecinnych to było to, kiedy były dwa trzecie maje. To był 1943 i 1944 rok. Ksiądz zapowiedział, że będzie uroczysta msza święta za ojczyznę, tata wrócił, jak to na wsi mówili „z le-śnymi” dzień wcześniej. Wieś była bechowsko-akowska i wszyscy się razem trzymali. Po obiedzie ludzie ze wsi przyszli do parku, mama otworzyła drzwi. I słuchajcie, ci ludzie, którzy mieli wykształcenie po cztery oddziały, nie-ktoś nawet może tego nie mieli, te piosenki znali. I zaczęło się od „Witaj majowa jutrzeńko” i ludzie śpiewając, płakali. Przez Wisłę to się mówiło, że tam jest Galicja. I nawet było tak, że konie i krowy to się pławiło, i pasły się w Galicji. Tam były łąki. I tam ludzie na te łąki też podeszli, też śpiewali na drugim brzegu, to było wspaniałe. Poza tym trudno powiedzieć, że zaprzyjaźnił się ze mną, bo mnie tylko kilka razy widział, tak zwany Czarny Juszka, jak go nazywali, lwowiak, który obsługiwał RKM. I proszę sobie wyobrazić, że dla takiego smyka 6-7 lat, propozycja: „Chodź, pomóż mi wyczyścić broń”, to była nobilitacja. Pokazał, jak się rozkłada zamek, potem powiedział: „Słuchaj, jak ci się zatnie w nocy, to musisz po ciemku go złożyć”. Zawiązywał mi jak w ciuciubabce oczy i ja po ciemku uczy-łem się. To było dla mnie wielkie święto. I to też była dla mnie bardzo ważna rzecz, bo tacy ludzie jak on, po 1945 roku przepadali. Jeszcze z tych lat dziecinnych pamiętam taki moment, kiedy przyjechał starszy siwy pan z taką bródką prawie hiszpańską. I przewozili go na drugą stronę Wisły, i wiadomo było, że mają nasi lotnicy przylecieć. Po latach dopiero dowiedziałem się, że to był premier Arciszewski, który odlatywał tym samolotem, którym przyleciał pan Nowak [Jeziorański]. I właśnie ci ludzie z otoczenia taty, łącznie z doktorem Molickim brali w tym udział. I po woj-nie zaczęły się dopiero kłopoty. Dlaczego? Jeszcze dopytałbym, żeby pan powiedział imiona i nazwiska rodziców i dziadków. Tak. Mój tato miał na imię Tadeusz Bartłomiej. Mama była z domu Laskowska. Miała na imię Halina. Natomiast dziadkowie po mieczu to był Andrzej, dziadek zmarł w 1906 roku. Był w takiej grupie endeckiej, która organizowała straż pożarną, bo to były polskie musztry. Babcia była, jego żona była z domu Szczednicka. To była rodzina, która od dawna tam zasiedlała te tereny wschodnie. Natomiast moja mama, jak powiedziałem, Laskowska, to miała pochodzenie prawie małopolskie, dlatego że jej dziadek brał udział w Powstaniu Styczniowym. U kome-danta Langiewicza był w takiej obstawie medycznej. Podobnie jak i prababcia, która była córką lekarza z Miechowa. Ona tam była łączniczką i sanitariuszką. Jak pradziadek wrócił z „rekołeksji syberyjskiej”, to wzięli ślub na Jasnej Górze i byli już razem. Przeszli też przez rewolucję. Teraz dalszy ciąg tych wypadków paskudnych po wojnie. To jesz-cze trzeba wrócić do 1943 roku, przełom na 1944, kiedy tutaj toczyły się nieformalne boje o przyszłość Polski między

komunistami siedzącymi w Polsce, a zrzutkami z Kremla. I w takiej wsi nieopodal, o nazwie Zabrowarze był komunista. Nazywał się Miska, który schronił się w rodzinnym domu, bo zbiegł z Sosnowca. I kiedyś właśnie jego towarzysze widocznie nadali, przyjechały dwie budy Niemców i wtedy ludzie nie myśleli w tych kategoriach, że tu komunista nie Polak, tylko po Polaka przyjechali. Wsie uzbrojone. Nikt z tych Niemców nie uszedł. Ale ta świnią wiedziała, kto go ratował. I potem po wojnie zaczęły się pogrzeby. I tutaj trzeba sprostować, był taki historyk z KC, Kowalski, który wydał książkę o tych utrwalaczach na 40-lecie, i napisał, że komendant Miska bronił się przed bandytami do ostatniego naboju, zginął bohaterską śmiercią. Mój kapitan ze studium wojskowego, Kucejko, powiedział: „Gówno prawda”, po prostu. Ludzie z lasu przyszli, on tam był na górze w komisariacie. To był wprawdzie budynek nie drewniany, a murowany. Cały murowany. Ale rzucili na parter granat, on wyszedł. Dali mu coś na przeczyszczenie, ale najpierw kazali odkręcić mu tablicę PPR-u, żeby narznął na tę tablicę PPR-u, a potem po prostu powiedzieli, że na takiego łotra to szkoda naboju i pałami go zatłukli. Który to był rok? 1945 rok. I jego kochanka, która przyjechała na lufie czołgu rosyjskiego w nocnej koszuli, dostała tylko w tyłek, ją wypędzili w kierunku Krakowa. A to była znienawidzona też. I dlaczego tej baby nie lubili? Miała oczywiście białą-czerwoną opaskę, chodziła z pepeszą. Podobnie jak ci kurokradzi tak zwani ze wsi. I przychodziła do sklepów, i ponieważ ona wywalczyła Polskę, to chciała darmo produkty żywnościowe, bo chciała się obżerać. I był taki pan Majewski chyba. Miał jatkę, to się nazywało jatka, czyli sklep mięsny. Jak do niego kiedyś weszła, to on wziął dwa noże, zaczął ostrzyć i powiedział, że: „Taka, nie taka, cię na wyroby wędliniarskie przerobię”. I tutaj wypomniał jej rodowód płciowymi słowami. Baba poszła. Oczywiście pan Majewski potem poszedł do lasu. Trzeba było stamtąd się w związku z tym ewakuować. A jeszcze dodam, że była pełna dekonspiracja, ponieważ to były tereny tak zwanej Republiki Pińczowskiej. U nas się powstanie zaczęło na święto Anny i skończyło 1 czy 2 października. A zaczęło się, można powiedzieć, przez przypadek, dlatego że przyleciał taki nieduży samolot, na Błoniach wylądował, niemiecki, i ten oficer, który wysiadł, jak się potem okazało, miał pierścionek z dedykacją Himmlera. A już nasi chodzili z bronią. Ponieważ powiedział, że polskim bandytom on broni nie odda, to dostał w łeb. I lotnik zdołał się podnieść, pomylił miasteczko i potem była karna ekspedycja w Skalmierzu, ale powstanie trwało, dlatego że na przykład położyli brony przysypane pyłem lessów, bo tam takie gleby były, i samochody w jarze się zatrzymały. I właśnie z tego okresu pamiętam, że potwornie się bałem, bo tata mnie posłał do wsi odległej o 3 czy 4 kilometry, żeby kogoś powiadomić, że Niemcy się zbliżają. I pobiegłem jarem. W pewnym momencie usłyszałem warkot silnika, i na taką prawie pionową ścianę jaru, ja się trzymając korzeni czy badyli różnych, wspinałem i miałem coś w rodzaju takiego suchego płaczu. Ale miałem duże szczęście, bo czołg się zarył. Ta droga była zbyt wąska i Niemcy wysiedli z czołgu, i go w ogóle zostawili. I z tego okresu też pamiętam takie wydarzenie, jak niedziela. Było gorąco, chłopci w eleganckich białych koszulach wyszli. Tylko kamizelki. Nadleciał samolot. Ludzie się do snopków chowali, a tam nie tak jak na Mazowszu, że tam po kilka sztuk, po dziesięć, dziesiątki, tylko tam były mendle, więc duże były te snopki. I wzdłuż snopków ten samolot leciał, i siekł z karabinów maszynowych. Nie zapomniałem tego do końca życia, pozostał jakiś uraz psychiczny, dlatego że jak jestem w lesie, były biolog, myśliwy i że bym coś nawet najbardziej ciekawego widział, jak usłyszę w lesie warkot silnika, to pierwsza myśl tutaj do szarych komórek głupia: „Padnij i wyczołgaj się w krzaki”. To tak zostało, psia kość, z tych lat. I tata szybko się stamtąd wyniósł i przyjechał po nas, to już było w listopadzie, pojechaliśmy do Radości. Tam się ojcu udało znaleźć jakieś mieszkanie kątem, przejazd przez Warszawę był dla mnie czymś makabrycznym. Ja to strasznie przeżyłem, bo słuchajcie, to była sterta gruzów. - 1945 rok? - Tak. To była sterta gruzów. I najbardziej zapamiętałem tak zwany drapacz chmur. To jest ten budynek tutaj PAST-y, prawda? To był taki kikut żelbetonowy. Na mnie zrobiły straszne wrażenie te gruzy. I byliśmy

tam w Radości do 1946 roku. Proszę sobie wyobrazić, że tam poznałem moją przyszłą żonę, ale ona się wtedy, gówniara nie liczyła. Po pierwsze ja byłem już w trzeciej klasie, bo od razu poszedłem do trzeciej, bo w szkole był Wehrmacht, ona była w pierwszej, pierwsza rzecz, a druga rzecz, że o tę szkołę była oparta ściana z sąsiedniego budynku, która się oparła tam po jakimś bombardowaniu. I ja opracowałem metodę szybkiego wychodzenia ze szkoły. Mianowicie to było na pierwszym piętrze. Otwierało się okno, pod tyłek tornister i się zjeżdżało w dół. Ona tego nie potrafiła. Więc nie mogła się liczyć. Dopiero potem myśmy się na studiach spotkali. I we wrześniu, w 1946 roku, mieszkaliśmy już na Saskiej Kępie. To była bardzo dobra ciekawa dzielnica, dlatego że tak, po pierwsze, nie zniszczona, było dużo ludzi, którzy poprzyjeżdżali z Kresów, dlatego że mieli tam swoje rodziny osiedlone już po 1920 roku. Tak że była specyficzna atmosfera. To było takie małe miasteczko leżące na boku Warszawy. Nawet w miejscowym slangu się mówiło: „Jedziesz do miasta, jedziesz do Warszawy”. Ludzie nie wiedzieli, jak się kto nazywa. I to nie było znajomości ad personam. Ale kłaniali się. I dopiero się zaczęło to zmieniać w 1953 roku, kiedy wybudowali ubecki blok na Paryskiej. Ale muszę wrócić jeszcze wcześniej, do roku 1949. Otóż wychowany w takiej atmosferze w czasie wojny, gdzie niepodległość to jest jakieś sacrum, że ci, którzy walczyli o Polskę, to dla dzieciaka powinni stać na pomnikach, niemal tak jak Traugott czy inni. I chociażby tato, który dwa lata ukrywał się w sanatorium przeciwgruźliczym w Zakopanem u znajomego lekarza, bo mu groził proces. Mama, która pracowała przez jakiś czas w Archiwum Akt Dawnych, to złośliwie ją przenieśli do Wilanowa, gdzie porządkowała archiwum Branickich i przed 5:00 musiała wychodzić z domu, bo autobusem... To nie był właściwie autobus, to były takie Jamesy Stutebekery przerobione do celów transportowych, musiała dojechać do Placu Unii. To był autobus P. Zejść na dół i ciuchcią jeździła do Wilanowa. A czasy były takie, że jak przychodziła Wigilia, to myśmy z babcią przygotowywali, czy Wielkanoc, bo wtedy robili szkolenia ideologiczne. Specjalnie złośliwie, żeby kobiety nie mogły iść do domu przygotowywać uroczystości. Pamiętam, że mama się kiedyś wyłgała, bo była wściekła, powiedziała: „A nie pójde, niech mnie wsadzą”. I wytłumaczyła się w ten sposób: „A kiedy ja mam pranie zrobić, jak nie w Wielką Sobotę?”. I to był argument, i się uchowala. I żyjąc w takiej atmosferze nic dziwnego, że z kolegami, dwóch już nie żyje, Andrzej Kowalczewski i Edek Jóźwiak, postanowiliśmy zrobić organizację konspiracyjną. Śmiech na sali. To się nazywało „Małe nie”, ale druga część: „Na złość im”. Na czym to polegało? Po prostu na tym, że w czasie godzin pracy, kiedy było najmniej ludzi w domach, tylko właśnie starzy, chodziliśmy z farbą i pisali na przykład: „M1 SB”. Bo wiedzieliśmy, że w takim mieszkaniu mieszka ubek. Ale były takie szczeniackie rzeczy jak to, że się brało kota z wypadku, macerowało przez miesiąc w swawolce budowlanej i potem taką galaretę z kubła się rzucało na drzwi takiemu ubiakowi. Że więzało się drutem klamki po jednej i po drugiej stronie. I ludzie nie mogli wychodzić z domu, a wtedy przecież była dyscyplina pracy nawet wśród ubecji. I mieliśmy pecha, bo było za dużo tych naszych nieobecności w szkole, postanowiliśmy to jakoś załatać i nie pamiętam nazwiska dokładnie i imienia, była taka nasza koleżanka, która od czwartej klasy każdą klasę gruntownie powtarzała. Rodzina była ubecka. I chciała się wkupić nauczycielom, i zauważyła właśnie, że myśmy ten dziennik, jak to się mówi, podsunęli do poprawy. I dzięki mojemu kochanemu wychowawcy, panu Grasiewiczowi, sprawa poszła w kierunku takim warcholsko niemal kryminalnym. Kryminalne rzeczy, że to nie było polityczne sensu stricto. Ale nie mogłem pójść do gimnazjum Mickiewicza. Tylko poszedłem do szkoły TPD na Zwycięzców, która się tam utworzyła. To była parodia, bo dyrektorem szkoły był przedwojenny piekarz ze Lwowa. Myśmy go carem nazywali. I jeszcze właśnie jakie były metody? W tej szkole wykorzystali, że ja rokuję nadzieję na duże sukcesy sportowe. I przez rok byłem w ZMP czy nawet półtora roku. Potem mnie wywalili, bo ja składek nie płaciłem, i zrobili mnie takim szefem od spraw sportowych w SKS-ie, to się nazywało. I była tak zwana

podpadka, dlatego że ułożyłem wierszyk pod tytułem: „Mowa naszego cara” na zakończenie roku szkolnego. To był wierszyk, który składał się z jego słów. Ja po tylu latach już in extenso tego nie zacytuję, ale to mniej więcej było tak: „Młodzieży, za pracę się brać należy. Dobrze osiągać wyniki, być przykładniki. Murarz domy muruje, kowal żelazo kuje, hutnik walcuje, pian wykonuje. A alfons taki ma dwóje. Psia mać, plan zaniedbuje. A my was trzymać nie musimy, bumelantów, alfonsów, świszczypałów na pysk wyrzucimy. Bo kto się nie słucha instrukcji, won pójdzie do produkcji”. I słuchajcie, ten wierszyk krążył w odpisach. Wydała nas taka koleżanka Irenberska taka zetempiczka, która ciągle w czerwonym, przynajmniej jakiejś kokardce chodziła, która po 1956 roku wyjechała do Kanady i opluwała Polskę. I byłem na dywaniku. Ale wtedy się jeszcze wyłgałem, bo wygrałem jakieś zawody. Jak kończył mi się tak zwany 2-tygodniowy urlop ze szkoły, ojciec był wezwany, to car powiedział: „Wiecie, no świszczypała, psia mać, ale wygrał zawody i to dla szkoły”. I jakoś przylgnąłem. Ale był tragiczny rok 1954. Znowu barakowa, psia kość, nazwa organizacji: Zew lasu, pomoc Armii Krajowej. Też ulotki, nie ulotki. Myśmy wpadli na tym, że oficjalnie promowaliśmy bojkot wpisania wszystkich uczniów do Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. I to, ja na tym wpadłem, bo nie mogli mnie udowodnić, że byłem jednym z tych, którzy malowali wagony w Warszawie Towarowej. Do tej pory pamiętam, to był zbyt długi napis. „Nie wywozić węgla do Indian zza Buga po 2,40 za tonę”. I po sylwetce chcieli, żebym się przyznał. Byłem na [ulicy] Cyryla i Metodego na tak zwanym wieszaku. Wiecie, że chłopak wysportowany, ale jak do domu wracałem, to naprawdę z trudem. Chociaż miałem od Cyryla i Metodego do Parku Skaryszewskiego tramwaj, potem przesiadka do ronda Waszyngtona, potem autobus i do placu Przymierza tam miałem przejść od Zwycięzców z 50 metrów. A jak wchodziłem do domu, stała dozorczyń, fajna taka była, Karolcia, miała żargon wileńsko-warszawski, o. I ciągle mówiła: „Tego o, tego o, po sprawiedliwości”. Jak zobaczyła, mówi: „Bolku, było się u kolegi i wypiszy”. Mówię: „Nie, pani Milewska. Byłem na Cyryla i Metodego” „O łachudry, o męty, żeby tak dzieciaka załatwić. Chodź, ja ci pomogę, bo na trzecie piętro nie wejdiesz”. I jak stanąłem przed drzwiami, to ona mówi: „Niech pan na niego nie krzyczy, bo to dobry chłopak, tylko go łachudry załatwili”. Po prostu komenda była taka: „Wieszak”, to łapy się wkładało w kajdanki przy ścianie, potem druga komenda: „Spodnie”, spuszczała. I metalowym wyciorem po nogach. Więc to w kość dało. I pamiętam, że wtedy tata mnie posadził na fotelu, po raz pierwszy w życiu dał mi nalewkę i pierwsze zapytał: „Pękłeś?”, „Nie, tata, nie”, „To dobrze. To ja ci powiem, dlaczego cię pochwalę, że robiłeś bojkot, za który jesteś w szkole odpowiedzialny w sprawie Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej”. I powiedział mi o losie tych moich rówieśników. Pod Rostowem dzieci zamarzyły. Była ciężka zima w 1939 roku na 1940. A my wszyscy jakieś tam pumpki, byle jakie ubrania, bo to koniec lata, sierpień, wrzesień. A władzy radzieckiej potrzebne były wagony. W związku z tym przyszła ekipa [niezrozumiałe] i tę bryłkę lodu siekierami, piłami porozwalala. - Zamarnięte dzieci. - Tak. Ponieważ to naród kulturalny, to przyszła druga ekipa i miotłami resztki powymiatali ku uciesze różnych psiaków. I ojciec powiedział, że to mi dlatego mówi dopiero teraz, „Żebyś miał czyste sumienie, że nie chciałeś się zapisać do Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, chociażbyś teraz miał jakieś konsekwencje”. A konsekwencje były takie, że wezwali mnie najpierw na tak zwaną dzielnicę ZMP, a był taki kretyn jakiś, który chciał mnie wychować ideologicznie, a ja mu dawałem, jak on mówił, prabliemy. A on mnie: „To wiecie co, ja tego tak nie wiem, ale mój towarzysz na dzielnicy, to on ma głowę nie tylko do kapelusza. To ja mu wszystko opowiem i potem wam to przekażę własnymi słowami”. I bisowałem dziesiątą klasę. Już nawet nie opłacało się chodzić do szkoły, bo wiedziałem, co jest grane. Tylko narobiłem rabanu, bo z kolegą, Marek Klimczak był naszym szefem, udaliśmy się na Mazury. Wtedy, kiedy była wycieczka szkolna na Mazury, bo nas oczywiście, tych wyklętych nie chcieli wziąć, a Marek jeszcze nie siedział. On dostał cztery i pół w kopalni. Dwóch kolegów miało po dwa i trzy

czwarte. Ja miałem szczęście, że nie złożyłem jeszcze przysięgi. Nie byłem w ewidencji. Dlatego nie poszedłem w ob-
jęcia tego cholernego Morela, który chłopakom wlewał do czarnej kawy alkohol, żeby wychodzili jako ludzie zde-
generowani. I z Mazur posłałem, pamiętam, z Wejsun głupią kartkę pocztową do taty: „Tutaj, tato, jest pięknie, bo Pol-
ska jest piękna, Mazury są piękne, ale myślę, że Europa na zachodzie jest jeszcze piękniejsza”. I korespondencja
do rodziców była pod cenzurą cały czas. I ten mój pseudo opiekun z dzielnicy, który był za mnie ideologicznie od-
powiedzialny, się przestraszył. Jak wróciłem domu wynędziały, bośmy nawet pamiętam, że kartoflankę gotowali
z kwitnących kartofli, rękami stynki wyławiali z jeziora, bo miały tarło i bez biletu do Warszawy wracali pociąg-
iem. Tata powiedział: „Ja wiedziałem, gówniarzu, że wrócisz. Tylko ten pacan się strasznie bał, bo był odpowiedzialny za
ciebie”. I jakaś opieka boska nad głupim Bolkiem, bo proszę sobie wyobrazić, że te dwie rzeczy, znaczy to „Małe
nie”, a jeszcze dodam, że wtedy byłem w „gąsiorku”. Gówniarz w siódmej klasie. „Gąsiorek” to dyby normalne. Taki
pan major, też nożem chrzczony, psia kość, który ciągle poprawiał sobie te buciki w harmonijkę, był prawie poetą,
wprawdzie nie Słowacki, ale nóżki, rączki w obrączki. Rymarz. A łebek takiemu w sztachetka. To znaczy łeb w te dyb-
ki, tutaj w kajdanki, kładli na plecach, gówniarz z siódmej klasy, gumolit, nie mieli jeszcze pałek, tylko walili dętkami
rowerowymi wypełnionymi piachem. To na Saskiej Kępie, na ulicy Aldony był ten komisariat, tam w podziemiach
to było. - To był rok... - 1949 rok. I ja potem szukałem tych drani, jednego i drugiego. Ale ten właśnie z roku 1949
uciekł z Polski po 1956 roku, chyba już jako podpułkownik, a ten drugi po 1968 roku uciekł z Polski. Tak że nawet nie
mogłem z nimi pogadać. I właśnie mówię, dlaczego opieka boska nad głupim Bolkiem w dalszym ciągu. Chciałem
pójść na uniwersytet na wydział biologii. Ciągnęło mnie leśnictwo, ale profesor Rabek, którego rodzice znali, powie-
dział: „Słuchaj, jak interesują cię lasy, to możesz potem robić jakieś prace, będąc naszym pracownikiem, a będziesz
w Lasach Państwowych, to i tak w mundurkach ciągle na baczność i twoim szefem może być taki idiota, jak ten gajo-
wy, Dąb-Kocioł, o którym mówią leśnicy, że to jest [niezrozumiałe]”. Bo on był w AL-u, dlatego został ministrem leśnic-
twa. I wiedziałem, że chyba pomimo częściowego wymazania tak zwanych moich win przez przypadek, bo do mo-
jej klasy chodził Piotr Graf, którego jeden stryj był adwokatem, a drugi był gnidą komunistyczną, jakimś tam sędzią,
nie sędzią. Taka, mówiąc po rusku, swołocz polityczna. I Piotrek się przystawiał do jednej z koleżanek, którą hołubili
chłopcy z Kamionka. I jak wyszliśmy ze szkoły, to chcieli Piotrkowi dać po łbie. Solidarność koleżeńska, bo nawet nie
wiedziałem, dlaczego chcą Piotrka pobić, a to było właśnie już po 1954 roku, kiedy uczyliśmy się ju-jitsu z książecz-
ki, którą kupiłem w antykwariacie. Więc jak miałem przeciwko sobie tylko dwóch, to chłopcy leżeli na trawniku.
I Piotrek mi powiedział potem: „Wiesz, ja powiedziałem o tym wszystkim moim stryjom i nie mogę ci powiedzieć w szcze-
gółach, ale oni ci bardzo pomogą”. I najprawdopodobniej właśnie chodziło o częściowe wymazanie tak zwanych
moich win, bo ja oficjalnie, jak kończyłem siódmą klasę, to miałem za sobą opinię „ślepe narzędzie w ręku”, o. A po-
tem jak kończyłem tę szkołę TPD po maturze, to byłem wrzodem na zdrowym ciecie szkoły. Więc powoli awansowałem.
A w ramach awansu, to wylatywałem z instytutu, to byłem już złośliwym nowotworem też na zdrowej tkance instytutu.
Tak że ciągle awans, psia krew. I wtedy był taki przedmiot, to się nazywało nauka o Polsce, świecie współczesnym.
Coś takiego w każdym bądź razie. I pamiętam, taka pełnomleczna zetempiczka w czerwonym krawacie chciała mnie
wykończyć. Nie zdałem sobie sprawy z tego, że potencjalny biolog może lubić historię. I pamiętam, że był taki moment,
jak ona mi coś o Insurekcji Kościuszkowskiej. To ja jej o rzezi Pragi i o Jasieńskim, i o tym, że na Cyryla i Metodego
tam za płotem jest mały pomniczek upamiętniający tę rzeź. Na marginesie, tam mieszkańcy Pragi składali w rocznicę
jakiś tam bukiet kwiatów, zapalali znicze. I jakiś milicjant czy ubek, matkę mego kolegi zaczął: „Dlaczego pani
tutaj świeczkę zapala?”, „Bo tu jest krzyż, i tutaj coś pisze”. „To nie wiecie, co tutaj pisze?”, „A nie, bo ja się dopiero

zapisalam na kurs dla analfabetów, ja po roku będę, tutaj przyjdę, to odczytam". I obok stał, jak ja zdawałem ten egzamin z nauki o Polsce, profesor Klaczkiewicz. Pamiętam, że on tak fukał. Raz zwróciłem uwagę, że ma miniaturkę baretki Virtuti Militari. Jak wyszedłem, to mi na korytarzu powiedział: „Kolego, gratuluję znajomości historii. Chciałem koledze powiedzieć, że ten, kto sprawdzał kolegi pracę piśmienną, napisał: „Praca specjalna, ocena niedostateczna”. To ja się tą pracą kolegi zainteresowałem i napisałem: „Praca specjalna, ocena bardzo dobra”. To dlatego, że kolega ten egzamin zdał tutaj, to tylko pro forma muszę oficjalnie kolegę potem zapytać na egzaminie ustnym”. I w ten sposób znalazłem się na wydziale biologii i nauki o ziemi. Pierwszy rok bisowałem, ponieważ po akcji ratunkowej w górach powędrowałem do szpitala. Od połowy stycznia leżałem w szpitalu do połowy czerwca. A co się wydarzyło? Czego ja nie miałem? Przez zupełny przypadek miałem z jakichś masek obrzędowych, które przymierzałem, wietnamskich, coś w gardle takiego, że nie mogę nawet przełykać. Przez półtora miesiąca mnie kroplówką odżywiali. Ale po tej akcji ratunkowej miałem jednocześnie wysięk wodny na organizm i jak wysłuchałem w pewnym momencie rozmowy lekarzy, „To może na początek mu nerkę wytniemy”. A niech was trup popieści. I zrobiłem taki profil. Do ust wchodził lejek, do tego lejka wpadały nazwy leków z mojej karty chorobowej, a pod tym napisałem: „Młody organizm wszystko zniesie. Niech lekarze wiedzą”. I się na mnie obrazili. Dlatego wyszedłem w połowie czerwca. Ale co to była za akcja ratunkowa? Który to był rok? 1957 rok. To w jaskini. Po prostu część kolegów, która była w przodzie, nie zareagowała szybko na halny, a to wtedy momentalnie była zlewnia z kotła tutaj koło Kasprowego Wierchu i nie zdołali się szybko ewakuować. Zresztą ja to też przeszedłem potem w Miętusie. Nie było odpowiedniego sprzętu i takich półżywych myśmy wyciągnęli, mokrzy na kompletną szmatę, że człowiek wyjmował buty z cholewami, to wylewał wodę. A na powierzchni minus 20-kilka. Do gajówki w Kościeliskach było kawałek drogi. I właśnie ponieważ ja już miałem sprawy związane z reumatyzmem, bo jak pies łęgawy zawsze do wody lazałem, to rzuciło mi się na stawy, tam jakiś wysięk wodny, takie różne historie. I dzięki Bogu, że z tego szpitala wyszedłem, i przeżyłem ciężkie chwile, bo następnego dnia... wyszedłem w sobotę, w niedzielę mnie rano pognęło do lasu w okolice Kłębowia. Tam była piękna dąbrowa. I wiecie, że gdyby nie komary, to bym w tym lesie tam został, bo nieraz w lesie spałem, ale pojechałem potem na godzinę 19:00 na mszę świętą na Saskiej Kępie i ledwie wróciłem z tego kościoła, i położyłem się do wanny. Miałem opuchnięte nogi, bo przecież te półtora miesiąca odżywiania kroplówką to swoje zrobiły, a poza tym ja na wózek ciągle jeździłem. Więc miałem opuchnięte nogi. To taka rzecz. I na tych studiach, powiem szczerze, że ja się wyżywałem, bo to mnie bardzo interesowało, chociaż były bardzo różne głupie przedmioty. Między innymi też ten cholerny socjalistyczny, ta filozofia oparta na tej filozofii drobnomieszczańskiej XIX-wiecznej, gdzie mamy dyskusję i człowiek przekonuje, bo nie masz racji, bo... I się punktuje. Tylko jest tak, że nie masz racji, bo masz wszy, pająki i koniec, jesteś skreślony, człowieku. A miałem kolegę, który, potem się okazało, że był i szkolony w Leningradzie, i że był zryczałtowanym ubiakiem. Zresztą przez którego wyszedłem z instytutu. I on zawsze po tej stronie był taki prorządowy i dyskusyjny. Tak że były czasami zabawne rzeczy. Ale naprawdę studia były szalenie ciekawe, aczkolwiek wiele przedmiotów było w zbyt małej dawce. Na przykład sam się musiałem uczyć i meteorologii, i mikroklimatu. Za mało miałem gleboznawstwa. I właśnie jak kończyłem studia, to był 1961 rok, z opóźnieniem, i jak przy luźnej rozmowie wspominałem, to miałem tę pracę magisterską napisaną, a za poradą profesora nie obroniłem się, żeby mój powrót był bardziej przejrzysty dla władz, a chciałem zobaczyć trochę, coś poza Polską, morze mnie zawsze interesowało. Jeszcze wcześniej powiem, że jak byłem na studiach, miałem z kolegą z Jaski, Staszkiem Suszczewskim, dzięki któremu ja potem pojechałem właśnie na antarktyczne te wyprawy. Mieliśmy płynąć tratwą do Bornholmu. Ot, takie młodzińcze marzenie, żeby gdzieś wyjechać, bo świat był dla nas zamknięty. Czy to był wtedy też urlop dzie-

kański? Nie. Nic z tego nie wyszło. Bo jak się okazało, że miałem szlaban i mogłem wyjść z tratwy, i wybrać wolność, Staszek sam nie mógł płynąć i wtedy nic z tego już nie wyszło. A ja właśnie w tym 1961 roku byłem zamusztrowany nad morze. Nawet pływałem na ostatnim węglowcu, Kilińskim, i była zabawna historia, bo taki trener, taki, który węgiel tam dokładał do kotła, miał przerzucić węgiel, który mu zabunkrowali, ja miałem pomagać, mówi: „Bolek, nie, a po grzyba. Idziemy do Aberdeen, tam Angole nam przerzucą” „A jak to?” „Widzisz, tutaj jest karton po Chesterfieldach. Tam będzie jedna paczka fajek i trochę tym gruzem węgla my przyłożymy. A Angole przyjdą, zobaczą, to ja im potem dam ręcznik, żeby się umyli, podziękuję, nawet kielicha postawię. I oni nam przerzucą we właściwe miejsce”. I tak też było. I ten wyjazd mi dużo dał, bo Morze Północne, podobnie jak każde morze, jest inne, ale dużo bardzo ciekawych obserwacji miałem. Nie tylko ornitologicznych, przywiozłem sporo materiałów do ćwiczeń ze studentami i miałem zabawną historię. To był jeden z takich moich rejsów. Ja pracowałem tam pół roku. Szef kuchni, u którego pracowałem jako pomocnik, zrobił duży bankiet, jak wychodziliśmy z Gdyni, bo to były czyjeś urodziny czy imieniny. Pamiętam, że siedzieliśmy w koi, obgryzali pieczone kurczaki. On mi w pewnym momencie pokazał zdjęcie dziewczyny i mówi: „No, jak Bolek, pasuje ci?” „Konrad, jeszcze luz ma” „Ty, słuchaj, to jest moja córka. Jak się z nią hajtniesz, nie będziesz musiał robić. Ja ci tutaj kropki willę pod Gdynią, hodowlę karpi dam, a mnie wystarczy, że będę miał zięcia z wyższym wykształceniem. Jak, pasuje?” „No, tak”. I ciekawa rzecz, bo pierwszy port po tej popijawie, to była Stenda, on mówi: „Wiesz co, Boleczku, jeszcze nie jesteście po słowie, to ja ci mogę parę adresów podrzucić”. Ale taki był honorowy, że jak wracaliśmy w końcu listopada do domu po sztormach i wyrzuciliśmy dwie beczki mięsa z Dalmoru, bo mięso było zepsute, i kapitan zamiast kupić w Kilonii jakieś żarełko, to kupił koniak. Wychodzimy na Bałtyk, a tu od północno-wschodniej strony taki był sztorm, że nie daj Boże. Do tego wszystkiego jeszcze ten alkohol. Ostatnią cytrynkę mi dał. Taki był Konrad honorowy. I wróciłem do domu, studia skończyłem, podjąłem... Najpierw miałem staż na Uniwersytecie Warszawskim u profesora Raabego, ale powiem szczerze, że mnie nie ciągnęła sprawa dydaktyki, szkoda mi było czasu. Chciałem po prostu pracować, wyżywać się w czasie obserwacji. Teren mnie ciągnął. I znalazłem się z poparciem profesora Raabego, bo działałem wcześniej w tym kole naukowym u nas. Moje pierwsze doświadczenie edytorskie to właśnie taki biuletyn ornitologiczny myśmy wydawali. I znalazłem się na Wilczej 64 w Instytucie PAN-owskim, zoologicznym. I w czasie jednej z takich akcji terenowych, Akcji Bałtyckiej, to znaczy która miała za zadanie obserwacji przelotów wzdłuż naszej linii brzegowej, były punkty obserwacyjne chwytania ptaków w sieci i obrączkowanie. To było bardzo ciekawe, bo nawet można było łapać takie gatunki, których się nie widywało. Na którymś z tych wyjazdów zgłosiła się moja przyszła żona i powiedziała, że: „Chciałabym być z Bolkiem, bo on od początku na te wyprawy jeździ, to on mnie chociaż nauczy tych ptaków”. I to był rok 1962. I w 1963 roku myśmy się już sami zaobrączkowali. Nie tylko ptaki. Ale właśnie jaka była historia z tym ślubem, bo to mój jeden z synów mówi: „Tata zawsze ma pod górkę, a jak górkę nie ma, to przynajmniej sobie usypie”. Otóż wtedy był obowiązek ślubu cywilnego. Mieszkaliśmy wtedy na Platynowej w tym budynku PAN-owskim. A też cała epopeja. Właśnie ciągnęła opieka z góry. Otóż w czasie tej akcji bałtyckiej leśniczy mi przyniósł telegram, że bym natychmiast wracał do domu w sprawie mieszkania. Otóż zapisałem się do spółdzielni budowlanej PAN-owskiej. To były takie jak horyzont komunizmu, na wszystkie strony. Ktoś mi powiedział, że są tak zwane książeczki budowlano-mieszkaniowe. Ja poszedłem z głupia frant do banku i powiedziałem, taką książeczkę chcę założyć. „A jaki ma pan numer mieszkania?” „Proszę pani, nie wiem” „A w jakiej pan jest spółdzielni?” „Polskiej Akademii Nauk” „A, to budownictwo zakładowe”, panienka mówi. „Tak, tak, tak” „To rzeczywiście pan nie musi mieć jeszcze wtedy znać numeru mieszkania”. I dostałem tę książeczkę budowlano-mieszkaniową. Wtedy, jak mnie tata ściągnął telegramem, to się okazało, że syn jakiegoś

dyrektora rąbnął samochód, pojechał z dziewczuchą poza miasto, samochód rozbił i tatuś dyrektor musiał wycofać pieniądze z tej spółdzielni budowlano-mieszkaniowej, żeby pokryć długi. I proszę sobie wyobrazić, że na 120-kilku chętnych ja miałem jedyną książeczkę budowlano-mieszkaniową, która dawała mi priorytet. I się ci biurokraci zastanawiali, jak ja to załatwiałem. Nawet brali mnie, że tak powiem, na przesłuchanie. Sprawdzali w banku, wszystko było w porządku. I dzięki temu znalazłem się tam na tej Platynowej. Dobrze, że w czasie studiów dorabiałem sobie na budowie. To też piękny fragment mego życia. Budynek na Puławskiej, tam jest taki pawilon handlowy i bardzo wysoki był. Jeszcze się na dziesiąte piętro w tak zwanych koziołkach cegły nosiło. I przydzielili mnie do majstra, który na imię miał Bolek. Jak wychodziłem po fajrant, a pan Bolek do mnie w te słowa: „Panie Bolek, codziennie przychodź pan do mnie, to będą dwa Bolki te akordowe, murarskie robotę kropki, kropki”. Mówię: „Tak jest, panie majster”. On się pyta: „A tatuś nie dał zawodu?”, mówię: „Panie majster, dał, fotografisty”. Bo nie chciałem, żeby wiedzieli, że studentem jestem. „Tylko trzeba parę zetów zahaczyć, żeby na prowincji zakład otworzyć”. „Panie Bolek, masz pan głowę nie tylko dla kapelusza”. I kiedyś właśnie wychodzim po fajrant, a pan Bolek do mnie w te słowa. „Pan Bolek musowo na Starówkę”. „Nie, panie majster”. A on był z Bródna. A nie powiem, też znana dzielnica, same dziwki i złodzieje. „Ale panie Bolek, starówka też znana dzielnica”. Panie, jakie one przed wojną miały winerki, takie gołębie. Najlepsze w Warszawie. I tak się z panem Bolkiem zaprzyjaźniłem. Taka była ciekawostka. Koniec pracy, schodzimy z rusztowania. Na dole siedzą cieśle, na gazecie jakiejś tam ogórki kiszzone, wędzony dorsz, flaszka. „Zobacz pan, panie Bolek, jak świnię jedzą”. „Faktycznie, panie Bolku, tak na gazecie”. „Panie Bolku, nie w ten. Tylko świnia je i nie przepija”. Oni mają puste szklanki, o. I właśnie to mi dużo dało, bo tata mi mówił: „Słuchaj, na aparat fotograficzny mógłbym ci się dorzucić, ale idź do roboty i poznaj ludzi. Będiesz inaczej na ludzi patrzył, na ludzką ciężką pracę”.